



Stanisława Roztropowicz-Szkubel

część II z III

Sygnatura notacji: **N1245**
Data urodzenia: **25.01.1927 r.**
Data nagrania: **11.04.2018 r**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Tomasz Sikorski**
Czas nagrania: **część I: 65 min, część II: 42 min, część III: 29 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisława Roztropowicz-Szkubel: Okazuje się, że w Olsztynie była placówka żydowska, która miała pomagać i na pewno pomagała nielicznym ludziom czy organizacjom, czy jakiejś siatce żydowskiej. I mama widocznie dowiedziała się o tym skądś, już nie wiem skąd i raz pojechała do Olsztyna, zgłosiła się do tego, do tej organizacji żydowskiej, wypełniła ten blankiet taki i zgłosiła, że my mamy żydowską dziewczynkę i czy ewentualnie możemy liczyć na pomoc w kosztach jej utrzymania. W tym zeszycie mama napisała też, że jak było, rodzice rozważali, co zrobić, jaką decyzję podjąć w sprawie tego dziecka. I mama tam napisała o antysemityzmie. Powiedziała, że antysemityzm jednak jest. Dlatego że na przykład była taka historia, że ona nic, absolutnie nic nie wiedziała, do końca. Do 2000 roku nic nie wiedziała, że jest adoptowana na przykład. Więc przyszła sąsiadka i powiedziała, że: „Wie pani, niech pani zwraca uwagę dlatego, że dzieci bawiły się...”. Między innymi z tej ulicy, w Nidzicy, ulica Leśna 7, tam mieszkaliśmy, grupa dzieci bawiła się i nie wiem, co tam Inka, naraziła się któremuś z chłopaków i on powiedział do niej: „Ach, ty żydowico”. I ona oczywiście, w ogóle pojęcia nie miała, że to do niej i co to znaczy, i tak dalej. Ale, czyli już było wiadomo, że ona jest Żydówką w tym środowisku, i że ten antysemityzm. I mama napisała, że boi się tego, czy będą w stanie zapewnić jej spokojne życie, dobry rozwój. W sytuacji, kiedy będzie wiadomo, że ona jest Żydówką i tak czy inaczej, podjęli decyzję, że oddają ją. I ten pan, Żyd, który do nas przyjeżdżał, Bernstein czy coś takiego, jakieś takie nazwisko. Razem z mamą pojechali do Łodzi, do tego domu sierot żydowskich i ją zostawili tam. I ona szybko została adoptowana przez rodzinę, która właśnie została zlepiąca z ludzi, którzy przeżyli Holokaust. I ta pani Goszczewska, z domu Kagan, ale nie z Kresów, a z Łodzi, ona skończyła studia, medycynę, bo była lekarzem we Francji i skończyła studia, i wróciła do Polski tuż przed wybuchem wojny, przed wrześniem, jakoś latem, na to nieszczęście przyjechała tutaj. Tak że przeżyła cały ten Holokaust w służbie, w Łodzi, w służbie zdrowia, w getcie i zagładę tego getta. I poznała się z panem Goszczewskim, a pan

Goszczewski swoją rodzinę, żonę i troje dzieci stracił w Holokauście. No więc dwoje rozbitków, usynowili, adoptowali właśnie ją, matkę Inkę jako swoje dziecko i szybko wyjechali do Izraela. Ale oni, jak mama zostawiała Inkę w Łodzi, to obiecali, że mama będzie informowana, rodzice będą informowani, gdzie ona jest, jak się czuje, jak się rozwija i jaki jest stan jej zdrowia, bo mama mówiła, co jej dolega, na co trzeba zwrócić uwagę i tak dalej. Ale oczywiście nic z tego nie wyszło i jeszcze w swoich, gdzieś tam swoich papierach mam ostatni list mamy razem z kopertą adresowaną do Łodzi i z pieczątką, że zwrot. A mama w tym liście czyni wyrzuty im, że mama ze swojej, rodzice ze swojej strony dochowali warunków umowy, nie interesowali się tym dzieckiem, nie jeździli, nie usiłowali nawiązywać kontaktu, a strona żydowska nie wywiązała się z obietnic, których się podjęli i ten nierozpieczętowany list mamy, z Łodzi wrócił. I tak że w swoich archiwach gdzieś mam ten list mojej mamy. No i tak się stało. Później rzeczywiście, jak spotkaliśmy się, tam, w tym 2000 roku, to tak przypuszczam, że ona właśnie opowiada te swoje, a ona była bardzo twardym dzieckiem. U nas uchodziła za bardzo zdolną dziewczynkę, bo w szkole te pierwsze jej, jak już przyzwyczaiła się szkoły, polskiej szkoły w Nidzicy, to robiła dobre postępy. Była takim wzorowym uczniem jako siedmioletnia dziewczynka. Ale po prostu ciągle słyszała: „To ja jestem, teraz masz mamusię, tatusia, a to była wojna, rozstaliśmy się, nie mogliśmy być razem, teraz nareszcie jesteś już w domu, my jesteśmy, ja jestem twoją mamusią, to jest twój tatuś”, no i tak ona, zatarło się w niej wszystkie wspomnienia tego wczesnego dzieciństwa, najwcześniejszego dzieciństwa z Nidzicy. Chociaż, tak jak te listy, które pisała w czterdziestym ósmym roku, to ciągle jeszcze pisała. „Mamo” i tam do nas, i tak dalej. Ale potem wyjechali do Izraela, to ona już miała tam bardzo ciężkie życie, no bo dziecko z zupełnie innego środowiska, hebrajskiego ani słowa, jidysz ani słowa. Więc musiała się uczyć, musiała, była, jednym słowem, lekkiego życia tam początkowo też nie miała. Czyli ja ostatnio z nią się widziałam w czterdziestym ósmym roku, w październiku, powiedzmy. W pięćdziesiątym pierwszym roku, jeszcze na studiach, zaczęłam pracować. Pracowałam w Instytucie Uprawy, Nawożenia i Gleboznawstwa i tam był dział ziemniaka, i kierownikiem tego działu ziemniaka był Żyd, Mieczysław Birecki. Mieczysław Birecki studia rolnicze rozpoczął przed wojną na SGGW, ale później wyjechał, zdążył, nie wiem, jakimi tam kolejami losu wyjechał do Związku Radzieckiego, tak że uszedł całemu temu Holokaustowi i tej zagładzie Żydów. I do Polski wrócił, oczywiście jako wysoko notowany partyjny, już jako profesor w tym <niezrozumiałe>, uczelnia Timiryazewa. Tam pracował, skończył studia i tam pracował. I profesor Birecki w sześćdziesiątym ósmym roku, w czasie tej całej zawieruchy żydowskiej, antysemickiej, wyjechał do, najpierw do Kanady, później do Stanów. Ale najpierw, zanim zwróciłam się do niego po sześćdziesiątym ósmym roku, czyli przed sześćdziesiątym ósmym rokiem, ja się zwracałam do Yad Vashem i próbowałam, pytałam i próbowałam znaleźć, dowiedzieć się, może coś wiedzą o niej. Miałam dwa listy z Yad Vashem. Za każdym razem odpowiadali mi, że żadnej ślad, na żadne ślady jej, jako Sabiny Kagan, wtedy nie wiedziałam, że Goszczewska, żadnych śladów nie było. Wtedy zwróciłam się już, to było po sześćdziesiątym ósmym roku, zwróciłam się do profesora Bireckiego, ja z nim utrzymywałam kontakt do końca, on w zeszłym roku zmarł w Stanach. Dopiero wtedy powiedziałam mu, że mieliśmy, uratowaliśmy żydowskie dziecko. Żeby on swoimi kanałami w organizacjach żydowskich w Stanach, spróbował dowiedzieć się, może w sam raz trafi na jej ślad, bo ja ciągle miałam ten zeszyt, tę historię napisaną dla niej. I ta historia kończy się takim apelem mojej mamy, że: „Kochanie czy tam córeczko, zrobiliśmy to dla ciebie, żeby ci lepiej było, żeby ci łatwiej było żyć, ale jeżeli będzie tobie tam źle, to wracaj do nas”. I ja ten zeszyt ciągle miałam i chciałam spełnić to, a mama już dawno nie żyła. Chciałam wypełnić to jej życzenie, ale profesor odpowiedział mi, Birecki, że nie natrafił na żaden ślad. Nic, nigdzie, nie mógł znaleźć. To jest rzeczywiście zrozumiałe no, bo ona, Sabina Kagan. Potem Irena Roztropowicz, potem Sabina Goszczewska i wreszcie po mężu, jak wyszła za mąż, Sabina jak tam nazwisko, no już wyleciało mi. Heller. Heller, Sabina Heller. No to, gdzie można taką osobę, o tak zmieniającym się nazwisku, znaleźć

kogoś. Ale właśnie tak jak ona opowiadała i zresztą to ma w swojej książce, to też opisuje, jakaś powiedziała, że Tel Awiw i w ogóle Izrael to jest, no „małe” państwo, „małe” miasto, w cudzysłowie małe miasto. Ale ludzie się znają i wiedzą, i tak dalej. Tam każdy wiedział ze środowiska pani Goszczewskiej, państwa Goszczewskich, wiedzieli, że ona jest adoptowana. Ale też wiedzieli o tym, że pani Goszczewska była, no bardzo, że tak powiem, zdecydowana i twarda. Jak na przykład Niemcy wypłacali Żydom, którzy przeżyli, odszkodowania i to duże odszkodowania, to pan Goszczewski podobno przyjął jakieś pieniądze. Tak mi Inka mówiła. A pani Goszczewska nie, odmówiła, powiedziała, że nie chce ani jednego feniga, dlatego że za to, za tę krew, za to nieszczęście, za tę zbrodnię, ona pieniędzy za to nie weźmie. I zabronila komukolwiek mówić o tym, że Inka jest adoptowana. I Inka nie wiedziała o tym, że ona jest adoptowana. I jest taki moment, to już Inka mi opowiadała, że jak najpierw zmarł pan Goszczewski w Izraelu, później pani Goszczewska, już w podeszłym wieku, bardzo ciężko chorowała. Inka już była mężatką i mieszkała w Los Angeles. Zabrała matkę z Izraela, do siebie, do Stanów. Umieściła ją w domu seniora, blisko swojego domu, gdzie ona z dziećmi tego. No i bardzo często tam utrzymywała z nią, odwiedzała, ciągły kontakt utrzymywała. I my tak kiedyś, bo Inka mówi, że jak już wcześniej coś ją trochę zastanawiało, jakieś takie zachowania czy odruchy pani Goszczewskiej. Ale powiedziała, że na przykład była taka historia, że jak już Inka była mężatką i już miała pierwszego syna chyba, i pani Goszczewska przyjechała do niej, to Inka chciała podać tego wnuka, bo babcia przyjechała. Nie chciała pani Goszczewska wziąć go na ręce. I jak Inka, jak już była chora, śmiertelnie chora pani Goszczewska, to Inka zaczęła taką, zebrały się na taką szczerą rozmowę jak córka z matką i Inka podobno powiedziała, że: „Mamo, ja miałam do mamy czasami żal, no dlaczego mama tak do moich synów, do twoich wnuków, jakoś tak podchodziłaś jakbyś, tak zimno. Tak jakoś, nie czułam, no jakoś, coś było nie tak”. Pani Goszczewska nie powiedziała, już leżąc śmiertelnie chora. Nie powiedziała jej, że ona była adoptowana. I o to właściwie Inka miała żal do pani Goszczewskiej. Ja nawet trochę ją tłumaczyłam, panią Goszczewską, że musi Inka zrozumieć, że ona nie chciała, żeby ona wiedziała, że po tym wszystkim co... A ona tak pilnowała, żeby nikt nie powiedział Ince, bo jeszcze jak była Inka w Izraelu, przed wyjazdem, przed małżeństwem to, ale już tak w latach sześćdziesiątych, czyli Inka już była właściwie, w sumie dorosła. Czy nawet po sześćdziesiątych. To jeszcze była możliwość zgłaszania do organizacji tam odpowiedniej niemiecko-żydowskiej o odszkodowania dla dzieci Holocaustu. I ten pan, który wiedział o Ince, bo ją przywoził do Łodzi, namawiał panią Goszczewską, żeby zgłosiła Inkę. Odmówiła, nie pozwoliła wpisać jej na listę dzieci Holocaustu. I Inka właśnie miała żal, bo powiedziała, że w tym względzie to miała chyba rację, że pani Goszczewska nie powiedziała jej o tym, jak już była dorosła, bo jak była dzieckiem, to jasne, nie był to dobry moment, żeby mówić jej o pochodzeniu. Ale jak już była dorosła, to mogłaby szukać kogoś z Radziwiłłowa, kto przeżył, kto mógłby powiedzieć jej, kim był jej ojciec, kim była matka, jak się obydwójce nazywali, no coś by wiedziała. Gdzie jej korzenie, skąd ona jest na świecie. Ale pani Goszczewska, tak jak mówiłam, nie pozwoliła nikomu powiedzieć jej o tym. I nawet jak była śmiertelnie chora, nie powiedziała jej ani słowa, że: „Ty nie jesteś moją córką, ty jesteś adoptowana” i dlatego, to jakoś, jakoś to tak wyszło. Tak że jak przyjechała ta, do Instytutu na Tłomackie, do Instytutu Żydowskiego, Historycznego Instytutu Żydowskiego przyjechała ta pani z Izraela, która zbierała materiały do pisania doktoratu, na temat Holocaustu. Nie wiem, czy specjalnie, w ogóle Holocaustu, pewnie jedno i drugie. I Holocaustu dzieci. I trafiła do oczywiście, no gdzie, do Warszawy i do Instytutu, Historycznego Instytutu Żydowskiego. A ja, jak dostałam od profesora Bireckiego konkretną odpowiedź, że on żadnych informacji w żydowskich organizacjach, w Stanach, nie mógł trafić na ślad Inki, to ja zebrałam wszystkie, zrobiłam kserokopie z wszystkich dokumentów, które miałam u siebie i zaniósłam do tego instytutu historycznego i przyznam, że oni mnie zdenerwowali. Nie ogólnie Instytut, ale pani sekretarka. Bo jak zaniósłam ten i byłam pod wrażeniem tej ogromnej mapy Polski, przedwo-

jennej. I zaniósłam ten skoroszyt z tym, i powiedziałam, że to są dzieje jednego, uratowanego życia, że zostawiam. A ona mówi: „A nie, no to nam, my to specjalnie...”. Wściekłam się trochę i powiedziałam: „Proszę pani, mnie to nie obchodzi, co pani z tym zrobi. Ja pani przekazuję te dokumenty, nie wiem, co zrobicie, w bibliotece, w archiwum, ale to jest część losów waszego narodu”. I zostawiłam. I jak przyjechała ta pani, w dziewięćdziesiątym ósmym może to było, jak przyjechała ta pani z Izraela, szukając tych materiałów, no to trafiła na ten skoroszyt z tymi dokumentami. Jak zaczęła je przeglądać, studiować, to coś jej się zaczęło kojarzyć. Nie wiem, co ją tam natchnęło, że skojarzyła ją właśnie z Sabiną, która teraz jest w Stanach, że ją znała z Izraela. I powiedziała dyrektorowi Instytutu, że przypuszcza, że to jest, że to dziecko, to to jest właśnie pani Heller z domu Sabina Kagan. No i w pewnym momencie, pewnego dnia, dostałam telefon z Instytutu Żydowskiego. To najpierw było tak, że jak on dostał od tej pani telefon do Inki, do Stanów, zadzwonił do niej i zapytał, czy wie, że ktoś ją szuka w Polsce. Powiedziała, że nie wie. To zapytał, czy może, no tak, miał mój telefon, bo w tych dokumentach moich, tam było podane, czy może podać jej telefon mnie. Inka się zgodziła. Ja po tej wiadomości, rozmowie z tym panem dyrektorem, odczekałam tydzień czy dziesięć dni, bo sobie pomyślałam, że no Inka powinna, bo on zadzwonił do niej, podając mój telefon, że Inka powinna zadzwonić. Ja nie wiem, ona wyrosła, nie wiem, czy ona się przyznaje, czy ona przypomina, czy ona chce nawiązać kontakt, czy nie. No więc nie dzwoniłam do niej. Ale wreszcie ona zadzwoniła po jakichś dwóch tygodniach, zadzwoniła do mnie. No najpierw koślavo mówiła po polsku, później zaczęła, jeszcze pod wrażeniem, potem zaczęła przypominać sobie Polskę i tak to już nawiązaliśmy stały kontakt i już od tej, od tego. I ona wtedy nikomu nawet nie mówiąc, nam nic nie mówiąc, wystąpiła do Yad Vashem o odznaczenie rodziców medalem Sprawiedliwych. A tam jest taka historia, że jeżeli jest jakiś wniosek dotyczący jakiejś osoby, Sprawiedliwego, przyszłego Sprawiedliwego, Yad Vashem wyznacza, jak gdyby takiego, no nie wiem, jak to nazwać. Nie sponsor, ale prowadzącego sprawę danej osoby. I w danym przypadku, po tym wniosku Inki, też został wyznaczony taki prowadzący tę sprawę. I on do mnie zadzwonił, że jest taka sprawa, wniosek ze strony tej rodziny, że chciałby rozmawiać i czy jeszcze chciałabym podać kogoś do rozważania w tej sprawie. I ja bez dużego namysłu, od razu odpowiedziałam mu, że my jako rodzina, będziemy całkowicie usatysfakcjonowani, jeżeli rodzice zostaną odznaczeni, bo naprawdę oni i tylko oni, podjęli całą odpowiedzialność za ratowanie tego dziecka z narażeniem własnych dzieci. I tak było, i tak była prowadzona sprawa, że najpierw został nadany właśnie w tym 2000 roku, nadany medal Sprawiedliwych rodzicom. Nas nie, ja, siostra i brat. I potem, na tej uroczystości nadania czy później trochę, prezes Polskiego Towarzystwa Sprawiedliwych, zaczął tłumaczyć, że ja źle zrobiłam, mówiąc, że będziemy wystarczająco uhonorowani tym medalem naszych rodziców, bo tłumaczył, że teraz jest, powstało to Polskie Towarzystwo Sprawiedliwych, że wszyscy, którzy rzeczywiście mają to odznaczenie, no są mile widziani i powinni być członkami tego. I Towarzystwu chodzi o to, żeby jak najwięcej było polskich Sprawiedliwych udokumentowanych, dlatego że wtedy już to była po sprawie Jedwabnego i te, taka prasa, bogata, negatywna, o tym polskim antysemityzmie i tak dalej. I ja, no uznałam te argumenty za słuszne. I zwróciłam się ponownie do tego pana, który prowadził sprawę rodziców, z propozycją, zaczęłam mówić, że chcę omówić, znaczy, że chcę poruszyć sprawę Zosi Stramskiej, po mężu Hołub, która odszukała to dziecko, znalazła to dziecko ukryte i nas troje, siostra, ja, najstarsza siostra nie, bo była w Niemczech i brat, i że prosimy o uznanie nas za Sprawiedliwych. No to trochę trwało i tam to co ktoś już, ja już tam nie wiem, kto mi tam powtarzał, czy ten pan, który prowadził tę sprawę, czy coś, bo to wszystko jest tam bardzo oficjalnie i dokładnie analizowane. Więc, jak trafiła na wokandę, że tak powiem, sprawa mojego wniosku, po jakimś, ja już w tej chwili nie pamiętam, mogę znaleźć, ale nie pamiętam, w którym to roku: dwa tysiące któryś, że dopiero, dlaczego nie od razu. Były podejrzenia, że ja się wstydziałam, że się obawiałam przyznać, że tego. Nic z takich rzeczy nie było. No po prostu zupełnie, mną kierowa-

ły zupełnie inne pobudki. To wyjaśniałam temu panu. No i ostatecznie mieliśmy, dostaliśmy przyznany Sprawiedliwych dwa medale, siostra i ja. Brat, bo to ja musiałam dokładnie powiedzieć, jaką rolę odgrywałyśmy my dwie, dwie siostry i również jaką rolę, pisałam, bo o bracie powiedzieli, że on za młody był. Nie bardzo się zgadzałam, bo jak pisałam o roli swojej i siostry w pielęgowaniu, bo rzeczywiście tak było, że doba była podzielona na trzy części. Mama miała dwanaście godzin opieki nad Inką i my dwie po sześć, żeby mama miała chwilę wytchnienia i tego. No bo to dziecko trzeba było cały czas leczyć, chować, uczyć, no być po prostu cały czas z tym dzieckiem. Ale wtedy tam też napisałam, jaką rolę odgrywał trzynastoletni chłopak, mój brat, bo rzeczywiście, autentycznie tak było. My, ja szesnaście, siostra siedemnaście, nie mogłyśmy chodzić spokojnie po niemieckim mieście z magistratem, który ciągle szukał ludzi do pracy na miejscu i w Niemczech. To akurat szesnaście, siedemnaście lat, to świetny materiał na robotników, na wyjazd do Niemiec albo na miejscu do pracy. A trzynastoletni chłopak, szczególnie ciekawy, wszędzie się wkręcał, wszystko wiedział, gdzie, jaki oddział stoi, gdzie są Węgrzy, a co Węgrzy robią, a co Niemcy robią. A co jest, a co, gdzie, a czy coś UPA, a czy tego. Czy ktoś słyszał, czy ktoś mówi, czy wspomina, czy ktoś pytał jego, skąd to dziecko. Był takim naszym rodzinnym zwiadowcą, no, ale decyzja zapadła taka, że brat za młody i nie został uznany, co zresztą, nawiasem mówiąc, uznałam, że nie bardzo słuszne, nie protestowałam, bo ostatecznie, gdyby się odkryło, że wtedy było głośno, że to jest żydowskie dziecko, to brat, pomimo trzynastu lat, też byłby rozstrzelany. No, ale już nie apelowałam, nie tego, Tak że w rezultacie my z siostrą dostałyśmy tam ze dwa lata później chyba. Jak ma siostra na imię? Słucham? Imię siostry? Janina Krajewska, już nie żyje. Rok dwudziesty szósty urodzenia? Nie, dwudziesty piąty. Imię brata? Andrzej. I brat jest... Już nie żyje. Tak, ale jest rok urodzenia trzydziesty? Trzydziesty, tak. I najstarsza siostra? Zofia, w czterdziestym drugim roku wywieziona do Niemiec.

Tomasz Sikorski: I ona była trzy lata od pani starsza?

Stanisława Roztropowicz-Szkubel: O trzy lata była ode mnie starsza.

Tomasz Sikorski: Dwudziesty czwarty?

Stanisława Roztropowicz-Szkubel: Tak.

Tomasz Sikorski: Czyli właściwie można powiedzieć, że Inka przypadkowo się dowiedziała, przez znajomość, przez to, że tamta pani ją skojarzyła?

Stanisława Roztropowicz-Szkubel: Tak. Bo ona, ponieważ matka... Sama nie odtwarzała tego. Dopiero jak przyjechała, jak pojechaliśmy do Radziwiłłowa, do Nidzicy, to już rodzice oczywiście dawno nie żyli. Ale naprzeciwko mieszkała, naszej, sąsiadka, która dokładnie ją pamiętała. Zaczęła opowiadać, jaka ona była grzeczna, jaka tego, jak chciała gdzieś pójść, a mamy nie było, to ona szła do tej, Inka do tej sąsiadki i prosiła, czy może, czy coś, czy pani pozwoli. Taka była grzeczna dziewczynka i tego. To zaczęła wszystko sobie przypominać. Jak poszliśmy do tej szkoły, do której ona zaczęła chodzić, sobie przypomniła. Taki park tam był, przy którym szła, to było ze dwa kilometry, miała do tej szkoły. Najpierw mama ją prowadziła, a później ona sama chodziła. Jak opowiadała, jak ona przypomniła sobie, jak bała się chodzić przez ten duży park, wtedy pusty jeszcze, bo, no to strach było, to ona miała siedem lat wtedy. To zaczęła sobie

wszystko przypominać. A potem zaczęłam jej opowiadać, czy nawet trochę coś w tej swojej książce, trochę pisze, ale jej opowiadałam, że trafiła, zaczęło ją zastanawiać i zaczęła trochę zastanawiać się nad tym, że są, że w jej życiorysie, no ma jakieś takie dziwne skoki. Bo dokładnie pamięta swoje początki w Izraelu, swoją szkołę w Izraelu, naukę żydowskiego, hebrajskiego, a tu raptem, ale tego... Trochę poza Izraelem, to jakaś czarna plama. Bo to zostało wybite z jej głowy tym wychowaniem późniejszym, że Goszczewscy są, to mama i tata, a nic się nie wspominało. I to u niej tak to wszystko się zatarło. I później, dopiero jak coś takiego, zaczęła właśnie tak, jakiegoś tam, jak dokumenty przekładała, przeglądała swojej matki, po śmierci matki, no to, że ona Kagan, ale z Łodzi. A ona, no nieurodzona w Łodzi. I tak jej się, i kilka takich momentów niejasnych to zaczęło, nasunęło jej, postawiło pytania, że co jest niejasnego, że ona jakoś tak ma, to jest, a bardzo przeżywała, znaczy trudno jej było wrosnąć w stosunki izraelskie. Bo jak zaczęła chodzić oczywiście, prawie natychmiast zaczęła, musiała uczyć się hebrajskiego i może i jidysz, ale hebrajskiego przede wszystkim. I oni najpierw, jak przyjechali do Izraela, to mieszkali w kibucu, rodzice Goszczewscy i ona. I ona chodziła, Inka chodziła do szkoły, tej powszechnej, podstawowej, w kibucu. No i właściwie przez całą szkołę podstawową, to była bardzo słabą uczennicą i była w klasie takim, no nieszczęśliwym kaczątkiem. Takim, no bo, jak poszła na, do pierwszej klasy zaczęła chodzić do szkoły tam, a w czterdziestym ósmym Izrael to był zupełnie nowym państwem, młodym państwem. Obywatele z różnych prawie części świata zjechali się do Izraela i dzieci też były zbieraniną przeróżnych krajów, obyczajów i zwyczajów. No ale, w każdym bądź razie, a warunki klimatyczne takie, że to dzieciaki tylko w szortach, koszulki, no i to wszystko. A ona została przyprowadzona do pierwszej klasy, w granatowej spódniczce i białej bluzeczce. No więc na tle gromady tamtych dzieci, to ona od razu była jakimś takim cudakiem. No kim, jakimś obcym ciałem. I do końca szkoły nie miała ani żadnej koleżanki, przyjaciółki. Była no, nie znajdowała wspólnego języka i jakiejś takiej przyjaźni. Nie odczuwała tej przyjaźni ze strony tamtych dzieci, do tego. I dopiero jak skończyła, i ja dopiero z tej książki dowiedziałam się, że jak ona kończyła tę szkołę podstawową, to miała końcowe, z ostatniej klasy, końcowe świadectwo bardzo słabe stopnie. No, ja byłam zdumiona tym odkryciem, ta Inka, którą ja pamiętam, jako początek pierwszej klasy, jako dziecko bardzo inteligentne i zdolne, raptem tutaj ma świadectwo ze słabymi stopniami jako słaba uczennica, coś mi to też nie pasowało. I stało się tak, no bo skończyła tę szkołę, to trzeba, do gimnazjum trzeba ją posłać. I Inka podsłuchiwała rozmowę rodziców, jak to bywa często, że dziecko słyszy coś, co nie jest przeznaczone dla uszu dziecka. Rodzice rozmawiają, co dalej z Inką. Trzeba ją posłać, Sabinkę, bo ona tam była Sabina. Sabinka musi iść do gimnazjum. No, ale pani Goszczewska mówi: „No, ale kto przyjmie ją do gimnazjum, do dobrego gimnazjum z takim świadectwem?”. Z kibucu, który wiadomo, że tamte szkoły mają bardzo niski poziom i co? I jeszcze ma czarno na białym fatalne świadectwo, nawet z tej szkoły w kibucu. To przecież, no nie przyjmą ją. I pani Goszczewska mówi, a pan Goszczewski najpierw milczał, a tam w rodzinie Goszczewskich to było tak, że słowo decydujące we wszystkich sprawach miała twarda pani Goszczewska. Pan Goszczewski dla świętego spokoju wszystko akceptował. I Inka pisze, że czasami miała nawet żal do ojca, że jak to czasami bywa, że dziecko z matką nie bardzo, córka z matką, jako dziecko nie zgadza się czy coś, że jest skarcona za coś niesłusznie. A pan Goszczewski nigdy jej nie bronił przeciwko pani Goszczewskiej. I ona podsłuchiwała tę rozmowę. A pan jak pani, a pani Goszczewska mówi tak: „No, słuchaj. To z takim świadectwem, to nie ma innego wyjścia, tylko musimy ją oddać do gimnazjum w kibucu”. A tam, to wiadomo, przepuszczając z klasy do klasy, że skończył, dziewczyna, chłopak, szkołę średnią i wtedy, ona usłyszała, że odezwał się pan Goszczewski i powiedział tak: „Nie. Moja córka pójdzie do dobrego gimnazjum”. I Inka mówi, tak jej się lekko zrobiło, że ojciec stanął w jej obronie, nie po stronie matki, a że twardo powiedział, że: „Moja córka pójdzie do dobrego gimnazjum”. I dopiero w gimnazjum ona poczuła się jak równa, w gronie młodzieży, jak równa innym. I znalazła sobie przyjaciół, przyjaciółki i już wszystko dalej dobrze szło. Ale te pierwsze lata to miała duże kłopoty.